



ALO! ALO! Gazeta Akademickiego Liceum Ogólnokształcącego Lingwista

NR 1-2 2017-2018

18 grudnia 2017r.

Szanowni Czytelnicy,

z prawdziwą przyjemnością oddajemy w Wasze ręce pierwszy w tym roku szkolnym, podwójny numer

ALO! ALO!

Życzymy miłej lektury,

Redakcja

Oknem felietonistki



Oknem pierwszaka

Wysokie schody, a na samej górze ogromne drzwi, wrota skrywające to, co nie wiadome. Otwierasz, a przed tobą nie pojawia się żadna pieczara tylko przyjemne małe pomieszczenie. Ludzie mijający ciebie chodzą trochę straszni, to nie są żadnymi złymi gnomami, które tylko na ciebie czekają. Wchodzisz dalej do dużej sali... Tłum ludzi. Każdy jakby na skazaniu, obawiasz się tego i zajmujesz swoje miejsce. Niecierpliwie się rozglądasz, jesteś ciekaw wszystkiego i wszystkich. Na horyzoncie pojawiają się nauczyciele, każdego obserwujesz z dużym zainteresowaniem tak, jak gepard swoją zdobycz. Rok szkolny się rozpoczął, rozejście do swoich klas i owo niepewne przekroczenie progu. Skanujesz wzrokiem ławki, próbujesz na pierwszy rzut oka ich rozszyfrować, ale żadne z nich nie pokazuje emocji. Siadasz wygodnie by cała przygoda się zaczęła. Można by powiedzieć, że lekcje będą nudne, a klasa mało interesująca, ale już z pierwszymi minutami maski opadają, a w klasie słychać kilka chichotów. Atmosfera rozluźniona a na twarzach promienne uśmiechy. Pierwsza lekcja i zero stresu, nauczyciele pozytywnie odebrani, żadnych skarg. Pełne zgranie i multum emocji towarzyszących tobie i twoim nowym znajomym.

Szkoła to nie piekło, do którego trzeba chodzić. Jest to jednak przyjemne, przytulne miejsce z wyrozumiałymi nauczycielami i fajnymi znajomymi, na których zawsze możesz liczyć. Strach minął, pozostało tylko poszerzyć horyzonty poza „mury” swojej klasy. Pierwsze rozmowy z innymi, kogo lubić, z kim pogadać. Rozeznanie w terenie zakończone. Teraz to czas na kontynuację sielanki.

Weronika

Strawberry business – z pamiętnika wakacyjnego zbieracza

Dzień 1

Budzik dzwoni o 4 nad ranem. Sam początek lipca, wakacje. Na szczęście za oknem już w miarę jasno, da się wstać. Szczególnie, że kasa czeka – od ręki, 10 za godzinę. Co może być trudnego w zbieraniu truskawek? Milion razy robiło się to u babci na działce. Na wpół przytomna jem śniadanie, czekam, aż podjedzie po mnie znajomy (zbieracz) – mamie akurat zepsuł się samochód.

Dojeżdżamy do wsi oddalonej 7 km od miejscowości, w której mieszkam. Wychodzę z auta i rozglądam się po innych zatrudnionych – większość to kobiety po trzydziestce, co trochę mnie dziwi – spodziewałam się osób w moim wieku, chcących łatwo zarobić na wakacje. Cóż, nie ma czasu się zastanawiać, właściciele działki poganiają – rzędków jest może 8, nie wydają się długie. Zakładam więc gumowe rękawiczki, żeby nie pobrudzić palców, zawijam je na kurtkę przeciwdeszczową – wszyscy jesteśmy opatuleni w kilka warstw, bo o 5 rano jest 10 stopni. Pracujemy w parach, po jednej osobie na jedną stronę krzaczków. Przydzielili mnie do Anki, wprawionej zbieraczki, o czym miałam niedługo się przekonać.

- Wiesz jakie zbierać, nie? Białe zostawiasz, zgnite zrywasz i wyrzucasz na ścieżkę. Ja już kiedyś w Niemczech zbierałam. Tam to w ogóle warunków nie było. Pojechałam, a tam ani ciepłej wody nie było, ani wygodnego miejsca do spania, a pracowaliśmy... czasami zdarzało się, że po 12 godzin! Leżeliśmy na brzuchu na takiej długiej desce, ciągnik jechał powoli, a my, z rękami i głowami w powietrzu, musieliśmy zbierać. Ale tam już nie pojadę. Tu się lepiej opłaca – Pani Małgosia czasami płaci więcej, o 5-10 złotych, jak szybko pracujesz. Patrz na tamtych – pokazuje mi na jakieś dwie młodsze dziewczyny, które zaczęły pracę równo z nami, a w tej chwili dzieli nas połowa pola – jak się opie*dalają... Ja to bym takim od kobałki płaciła. Od razu by im się pracować zachciało. Ja to też... muszę się częściej prostować, wiesz? Nooo, Nie mogę się schylać za dużo, bo mi się zaraz w głowie kręci. Zapalę sobie.

Tymczasem ja nie odczuwam zmęczenia – dobre cztery godziny zrywam jak na autopilocie, w kucki. Wolę nie wstawać, bo robi się ciemno przed oczami. Na szczęście z każdą godziną robi się cieplej i można pozbyć się wierzchniej, przeciwdeszczowej warstwy. Dodatkowo motywuje fakt, że naprawdę przodujemy z tempem pracy.

- Wiesz, mam synka trzyletniego, Bratek się nazywa. Wcześniakiem jest. Nooo, był taki maleńki jak się urodził, w inkubatorze takim go trzymali, wiesz? Ja to się z nim miałam... I na rehabilitację z nim jeżdżę. Ale już wszystko w porządku, zdrowy jest. Właśnie, muszę pomyśleć co tu zrobić na obiad. Ale mnie wku*wiają tamte dziewczyny – faktycznie, zdawały się ciągle być w tym samym miejscu – jakbym ja je zatrudniała to bym im od kobałek płaciła, zaraz by zaczęły zapie*dalać!... Ale już dużo zgnitych jest, co? I takich małych też, co to nie wiadomo czy zbierać, ni w pi*dę ni w oko.

Jest dziewiąta, wszyscy powoli mają dość, ale przerzucają nas na inny rzędek. W życiu bym nie pomyślała, że tyle tych czerwonych owoców mieści się na takim – na pierwszy rzut oka małym – poletku...

Tego dnia skończyliśmy o 11, dostałam z Anką 15 zł nadwyżki. Znalazłam sobie podwózkę, zapakowaliśmy się w pięć osób do auta i wróciłam do domu. Spałam do obiadu.

Dzień 2

Wstaję z tym samym zapalem, bez zakwasów, gotowa do zbierania. Powtarzam wczorajsze procedury, na miejscu tylko okazuje się, że dzisiaj nie ma Anki. Bardzo ubolewam, ponieważ nowa współpracowniczka nie urabia się w tak szybkim tempie i jeszcze częściej zatrzymuje się na papierosa. Dwóch dziewczyn ze wczoraj nie ma. Staram się wyłączyć umysł, żeby czas minął możliwie jak najszybciej. Z sąsiednich rzędków dolatują mnie urywki rozmów o tym, co zrobić na obiad, z kim zostawić małego i jaka to dobra zabawa była ostatnio w pizzerii. Pracujemy godzinę krócej i dostajemy adekwatne wynagrodzenie. Tym razem za późno zwróciłam się o podwózkę, czekam więc aż właściciele pola zważą kobałki i pomagam je wnieść do dostawczaka. Po około godzinie zdejmuję już w domu kalosze, błagam w myślach mechanika, żeby szybko naprawił mamie to auto i odsypiam.

Dzień 3

Są i one, zakwasy. Ale to po części wina mojej słabej kondycji. Na polu z wielkim trudem uginam nogi do kucek, ale zbieram, wyłączam umysł. Zaczyna doskwierać mi brak przerw. W ciągu tych pięciu godzin przydałoby się chociaż jakieś 10 minut na

rozciąganie i energetycznego batonika. Na szczęście nie musiałam jeszcze iść za potrzebą, bo dopiero zorientowałam się, że jedynym sposobem na wypróżnienie się jest ukłęknięcie w wysokich plonach sąsiedniego pola – z tej opcji, ku mojemu obrzydzeniu, korzysta sporo osób. Staram się nie myśleć o tym ale jednocześnie łapię się na tym, że zaczynam odczuwać to samo zniecierpliwienie i nerwowe wyglądanie ku końcowi rzędka, co reszta. Na razie jednak powstrzymuje się przed wypowiedzianiem tego na głos. Codziennie około 7 słońce świeci już na dobre i aż chce się wystawiać twarz na wschód. Poza tym dopiero wtedy liście truskawek się osuszają, a same owoce zaczynają aromatycznie pachnieć. O dziwo nie obrzydza mnie to – przeciwnie, mam na nie coraz większą ochotę. Nie na tyle, żeby podjadać prosto z krzaka... Chociaż takich smakoszy też na polu nie brakuje.

Dzień 5

Rutyna jeszcze gorsza niż szkolna, przysięgam. Dodatkowo denerwuje mnie czekanie na przeładowanie kobiałek. Jakby tego było mało, sezon na jedną odmianę chyba powoli się kończy i trzeba dać kilka dni późniejszemu gatunkowi, żeby dojrzał. O 9 kończymy i szukają chętnych na sobotę – popyt jest największy, poza tym im więcej zbierzemy tym mniej zgnije. Ale postanowiłam sobie, że weekendy, jak w roku szkolnym, będę się wysypiać. Widzimy się z wesołą ekipą dopiero w poniedziałek. Tęsknię za Anką, chyba zachorowała, podobno ma przysłać córkę na zastępstwo.

Dzień 7

Jakimś cudem dopiero teraz przyszło mi do głowy, żeby wziąć słuchawki. Świetna opcja – muzyka pomaga przetrwać zbieranie, a każdy album to odmierzona godzina pracy. Nauczyłam się też chować jedzenie po kieszeniach i konsumować w trakcie zbierania. Zła wiadomość jest taka, że pogoda ma się popsuć. Czy w deszczu w ogóle da się zbierać?... Po około czterech godzinach poddaję się i zbieram na siedząco. Chyba parę razy usiadłam na „zgnite”, ale nie mam siły się tym przejmować. Nie kończymy już pracy rozebrani do krótkich rękawów, a słońce nie wysusza liści.

Dzień 8

Zadzwonili o 4:15, że pogoda nie pozwala na zbieranie. Mamy przyjechać na 7. Tak też robimy, ale o 7 nie jest o wiele lepiej. Nie minęła godzina pracy, a zaczęło lać. Nawet nie próbują nas ściągać z pola na przeczekanie – mamy robić do 9, zebrać ile da radę. Zdecydowanie najgorszy dzień, po prostu przykry. W pewnym momencie nie mogę już powstrzymać dreszczy, czuję, że przemokłam do bielizny, kurtka na niewiele się zdała. Chce mi się płakać i czuję, że katar cieknie mi z nosa. Zdrętwiałymi palcami wygrzebuję jakoś czerwone bulwy. Nie ma ich wiele, tak samo jak zapłaty – na rękę, przemoczoną mimo rękawiczek, dostaję marne 20 złotych.

Dzień 9

To już nie są zakwasy, tylko chroniczny ból. Co gorsza, zaczął dokuczać kręgosłup. Schylam się jak babcia z artretyzmem. Mży. Przydzielili mnie do kilka lat starszej ode mnie zbieraczki. Opowiada mi o innej wakacyjnej pracy – kelnerowaniu w nadmorskich restauracjach. Z jej narracji nie wydaje się ona być dużo lepsza niż nasza obecna praca. Dziś dostaje się nam po głowie, że zbieramy za małe, twarde, brzydkie truskawki. „Kupiłabyś kobiałkę z takimi truskawkami?” – słyszymy ironiczne pytanie. Staramy się poprawić, ale ubogie krzaczki nie pozostawiają nam zbyt wielkiego wyboru.

Dzień 11

Lepiej się pracuje z myślą, że jest piątek. Niestety, deszczowe dni tego tygodnia uniemożliwiły pełnowymiarową pracę, a więc także odpowiedni zarobek - po weekendzie znów muszę wrócić, żeby uzbierać do kwoty, którą sobie założyłam, zaczynając. Mamie na szczęście naprawili samochód, odpadł więc problem odwozów i nie muszę czekać dodatkowej godziny. Wróciła także Anka a z nią – lepsza pogoda. Nie mogę się powstrzymać i proszę, żeby od dzisiejszego wynagrodzenia odjęli mi sumę za kobiałkę. Makaron ze śmietaną i truskawkami, już cieknie mi ślinka.

Nie szkoda mi przespanych popołudniu godzin – i tak nie mam nic lepszego do roboty.

Dzień 16

4 rano. Zimno. Tosty na śniadanie i upychanie lateksowych rękawiczek po kieszeniach. Ostatni przyjazd na pole. Ostatni raz słucham, co 10 różnych kobiet robi na obiad i z kim zostawia małego. „Ni w pi*dę ni w oko” zbiera razem ze swoją córką. Późniejsza odmiana rozrosła się na dobre, aż przyjemnie popatrzeć. Masuję kark co jakiś czas, prostuję plecy coraz wolniej. Patrzę po naszej truskawkowej rodzinie, jak od gimnazjalistów do emerytów jednoczymy się w kwękaniu „Do której dzisiaj robimy?”, „Ja

*dłużej niż do 9 nie robię, w ch*ju to mam” oraz „Nie rób tak szybko jak messerschmitt, bo nas do następnego rządka wezmą”. Codziennie znalazł się też ktoś, kto jakże uprzejmie włączył „Despacito” w telefonie.*

Na odchodne dostałam darmową kobiałkę i uścisk pracodawcy. Równie serdecznie wyściskałam wszystkie współzbiernaczki. Miesiąc zajęło mi wydanie ‘ciężko zarobionych pieniędzy’, a jeszcze dłużej unikałam skłonów z obawy, że już się nie wyprostuję... Czy żałuję, pójścia w truskawki? Nigdy w życiu! Czy poszłabym jeszcze raz?... Nigdy w życiu i jeden dzień dłużej.

Ada



Witajcie w moim świecie

Jak zapewne wiecie jestem uczniem pierwszej klasy w naszym liceum. Pani Alicja Kuźma poprosiła mnie o napisanie artykułu o odbiorze świata bez udziału wzroku, czyli o różnicy między życiem osoby niewidomej a widzącej.

Czy zastanawialiście się kiedykolwiek jak osoba niewidoma od urodzenia postrzega świat? Co znajduje się w miejscu w którym u widzących istnieją obrazy i ruch? A może niewidomym brakuje nie tylko wzroku? Może ów brak spowodował, iż cała struktura odbioru rzeczywistości uległa zmianie? Czy świat jest czarny albo ciemny? Co oznaczają kolory i jak wyobrażam sobie np. niebo z chmurami, księżyc i gwiazdy? Czym jest dla mnie przestrzeń i jak odbieram odległości. Postaram się odpowiedzieć wam na te pytania i wskazać różnice w odbiorze świata między wami, a mną.

Światło jest warunkiem życia i posługiwania się wzrokiem. Wzrok jest zmysłem dominującym, który pozwala na szybką i dokładną orientację w otoczeniu. Człowiek aż 85 % ze swojego otoczenia odbiera za pomocą wzroku.

Niemal wszystko czym się posługuje wymaga wzroku - pismo, barwna odzież, znaki drogowe, a tak wielkie obiekty jak łańcuchy górskie, drapacze chmur czy małe bakterie owady lub te odległe, jak gwiazdy planety czy przedmioty w ruchu nie poddają się oglądaniu za pomocą żadnego innego zmysłu. W moim przypadku pojęcie koloru to zupełna abstrakcja. Nie odróżniam ich, ponieważ moja siatkówka nie odbiera bodźców świetlnych. Często słyszę pogląd, według którego niewidomy widzi ciemność. Jest on zupełnie nieprawdziwy, gdyż zmysł wzroku u osoby takiej, jak ja w ogóle się nie rozwinął. Można to porównać do twierdzenia, w którym głoszonoby, iż głuchy słyszy ciszę.

O kolorach wiem tylko tyle ile mi opowiedziano. Często też opieram się na zasadzie skojarzeń : zielony utożsamiam z trawą i naturą, a czerwony z krwią i niebezpieczeństwem. Uważam, że rozróżnianie kolorów np. na zasadzie skojarzeń to potrzebna umiejętność, jeżeli niewidomy chce żyć w społeczeństwie. Ta wiedza ułatwi mu codzienny kontakt z innymi. Do jako takiego przystosowania się, do funkcjonowania potrzebne jest też niewidomym odnajdywanie się w przestrzeni.

Wiem, że z punktu widzenia osoby posiadającej zmysł wzroku brzmi to absurdalnie, jednak większość osób takich, jak jest w stanie słuchem wychwycić zbliżającą się przeszkodę. Oczywiście wymaga to skupienia i koncentracji, i jest dość trudne do realizacji w codziennym poruszaniu się, tym niemniej umiejętność ta bardzo się przydaje np. podczas szybkiego przemieszczania się. Jeśli chodzi o tę czynność większość z nas (w tym ja) najczęściej chodzi z białą laską. Jak sama nazwa wskazuje jest to rodzaj składanego lub niedemontowalnego kija wykonanego najczęściej ze specjalnego tworzywa sztucznego i wyposażonego w gumową rączkę. Poruszanie się z białą laską jest dość proste.

Nadgarstek trzymamy mniej więcej po środku osi ciała na wysokości pasa. Łokieć jest zablokowany pod kontem ok 90) a nadgarstek wykonuje półkoliste ruchy które przenoszą laskę z lewej strony na prawą. Każdemu ruchowi odpowiada 1 krok. Gdy wyciągamy lewą nogę laska musi znaleźć się po prawej stronie, natomiast gdy pierwsza rusza prawa noga laskę umieszczamy po lewej. Po nabraniu wprawy czynność samego poruszania się przychodzi instynktownie i nie myślę o niej podczas chodzenia. Niestety chodzenie z laską nie opiera się na samej technice.

Drugim i najważniejszym aspektem jest zapamiętanie trasy. W tym celu należy kilkakrotnie przejść się (najlepiej z przewodnikiem) po odcinku drogi, a następnie go sobie przyswoić.

Gdy niewidomy nabierze odpowiedniej wprawy może nawet wykonywać samodzielne wycieczki (znam osobiście niewidomego Kamila, który wraz ze swoim również niewidzącym kolegą wybrał się na wycieczkę po Moskwie).

Drugim sposobem poruszania się jest posiadanie psa przewodnika. Jest to pies którego szkolenie ukierunkowane jest na prowadzenia osób takich jak ja. Osobiście nie zdecydowałem się na tą formę przemieszczania się, gdyż

wyszkolenie psa kosztuje ok. 20000 zł i jego utrzymanie również. Laska jest samo wystarczająca i nie wymaga żadnych nakładów finansowych poza samym kupnem.

Ostatni i według mnie najgorszy sposób na poruszanie się stanowi przemieszczanie się z drugą (widzącą osobą).

Twierdzą tak, gdyż chodząc z kimś tracimy samodzielność oraz musimy w pełni zdać się na drugą osobę i w pewien sposób ograniczyć jej mobilność.

Na poruszony przeze mnie temat można napisać niejedną książkę. Ja potraktowałem go w sposób jak najbardziej skrócony i postarałem się zawrzeć wszystkie najważniejsze wiadomości w jednym artykule. Jeżeli -według was- nie udzieliłem odpowiedzi na ewentualne kwestie dotyczące mnie lub osób niewidomych, zawsze możecie podejść do mnie na przerwie, lub podpowiedzieć mi temat, na który będę mógł napisać następny artykuł. Jestem otwarty na propozycje.

Piotr



„Ode” do innowacji w Danii

Czym jest „Our democratic Europe”? To międzynarodowy projekt Unii, zapoczątkowany przez biblioteki z Danii, Holandii, Belgii i Polski. Zrzesza on młodych ludzi z czterech wyżej wymienionych państw, by wspólnie omawiali najbardziej palące problemy dzisiejszej Europy. Na spotkaniach w Polsce i Holandii poruszane były tematy takie jak ekonomia, szkolnictwo; system edukacji, realizacja lekcji religii i wdz w szkołach, a także środowisko; alternatywne źródła energii, ekologiczny styl życia czy zdrowa żywność. Każde z seminariów ma na celu rozwój i edukację uczestników na wielu płaszczyznach, takich jak: kreatywność, prezentacja na forum, praca w grupie oraz – oczywiście- doskonalenie języka angielskiego i zacieśnianie międzynarodowych więzi, i współpracy.

W dniach 11-14 listopada 2017 odbyło się trzecie już spotkanie „Ode”, tym razem w mroźnym klimacie przepięknej Danii. Licealiści z duńskiego liceum w Holstebro przyjęli zagranicznych gości z niesamowitą uprzejmością i zapewnili wyjątkowe atrakcje, gdyż tematem tego seminarium było elastyczne i niewyczerpalne w interpretacjach słowo: „innowacja”.

Pierwszego dnia pobytu w kraju słynącym z klocków „Lego” nie mogliśmy udać się nigdzie indziej, niż właśnie do „Lego House”. Instytucja ta jest mniejszą, bardziej przystępną poza sezonem wersją „Legolandu”, w której klocki przybierają niesamowite, zapierające dech w piersiach formy, transformowane są w niemal dzieła sztuki, ale również stanowią podstawę do niekonwencjonalnych gier i zabaw. W ośrodku zapoznaliśmy się z innowacyjnymi technikami związanymi z wirtualną rzeczywistością, poznaliśmy historię założycieli tej znanej na całym świecie kreatywnej zabawki, jaką są klocki „Lego”, a także mogliśmy wrócić na chwilę do sentymentów dzieciństwa. Przygotowani na dalsze zajęcia, wieczorem trafiliśmy do nowoczesnej biblioteki w Herning, gdzie oglądaliśmy filmiki przygotowane wcześniej przez każde z państw, opowiadające o ich poglądach na innowację i staraliśmy się odpowiadać na pytania z nią związane. Drugiego dnia projektu zostaliśmy podzieleni na grupy, w których debatowaliśmy, próbując znaleźć pomysły i sformułować propozycje działania Unii Europejskiej pod kątem innowacji na najbliższe lata. Decydenci ze wszystkich biorących udział krajów brali udział w dyskusjach i wymieniali z nami swoje poglądy – jest to bowiem ostateczny cel projektu, by przedstawić sugestie wielowymiarowego zaangażowania młodzieży w podejmowaniu decyzji Europy przyszłości i współtworzyć rozwiązania jej problemów. Mogliśmy też dotknąć tematu innowacji w formie przedstawienia – wysłuchaliśmy przejmującego występu chóru, który w swym wyczerpującym i jakże pięknym spektaklu opowiadał o innowacji jako rewolucji mentalności społeczeństwa. Wieczorem odwiedziliśmy niezwykle miejsce, zwane „Slugteriet” – jest to obiekt kulturalny, powstały miejscu dawnej rzeźni, stąd też jego nazwa oraz nietypowy, groteskowy wystrój wnętrza. Dzięki kreatywnym fundacjom i wolontariuszom z pozoru bezużyteczne miejsce stało się centrum kultury, rozrywki i spotkań młodzieży. Zobaczyliśmy mieszczące się tam: salę koncertową, imprezową, skatepark i garaż artysty graffiti. Tego magicznego wieczoru wspaniale bawiliśmy się przy pizzy i karaoke, zostawiliśmy ślad w postaci spray’owanej sztuki wizualnej i próbowaliśmy swoich sił na deskach. Nasze spojrzenie na innowacyjność w technice, sztuce i społeczeństwie mogliśmy uzewnętrznić w wyjątkowy sposób trzeciego dnia, tworząc animacje w warsztacie animacyjnym w Viborg – jednej z najlepszych instytucji

dedykowanych sztuce animacji na świecie. Każda z grup stworzyła tam w parę godzin kilkuminutowe animacje, prezentowane później na podniosłym wieczorze „Oscarów”. Odbyła się uroczysta kolacja, wręczenie statuetek, oraz... odśpiewanie „sto lat” Szymonowi z polskiej grupy, który tego dnia obchodził urodziny – zadbano nawet o urodzinowy tort (!).

We wtorkowy, deszczowy poranek z wielkim żalem opuściliśmy naszych przyjaciół i natchnieni wróciliśmy do kraju. Zachowamy w pamięci doświadczenia, nie tylko samych zajęć, ale także spoza nich, uroki i styl życia innych kultur, a także spostrzeżenia dotyczące panującej tam mentalności. Być może innowacyjnym byłaby na przykład moda na palenie w domu świec – dla ozdoby i ocieplenia klimatu wnętrza? Dacie wiarę, że jest to codziennością w Danii? Mają nawet nieprzetłumaczalne, oddzielne słowo oddające ten klimat, którego najbliższe, choć niedokładne tłumaczenie brzmiałoby „przytulny”...? Daje do myślenia.

Ada Piotrowska

Wywiad z Jakubem Dołżyckim z kl. 1a



- Jak długo trenujesz? Od czego zaczęła się twoja przygoda?

Kuba: Trenuję 9 lat. W podstawówce był Klub Siermierny i mój starszy brat poszedł na trening. Powiedział, że było bardzo fajnie i ogólnie i zachęcał mnie bym poszedł. Tak się to zaczęło.

- Co tak bardzo lubisz w siermierce i dlaczego?

Kuba: Lubię to, że każdy jest inny. Mam na myśli przeciwnika. Wciąż trzeba myśleć o tym, co się robi. Jak go przechytrzyć, by dostać punkty.

- Czy miałeś duże problemy z odnalezieniem się w grupie z siermierki?

Kuba: Nie miałem w ogóle problemu z odnalezieniem się ponieważ jestem bardzo otwartą osobą i szybko się zaprzyjaźniam.

- Szkoła i siermierka, czy jest to trudne do pogodzenia?

Kuba: Siermierka jest bardzo czasochłonna i jest to trudne do połączenia, ale jakoś daje radę.

- Z tego co wiem, masz dużo wyjazdów, czy nie są one dla Ciebie męczące?

Kuba: Oczywiście takie cotygodniowe wyjazdy są bardzo męczące najbardziej te zagraniczne.

- Jakbyś miał opcję zmiany dyscypliny sportu to byś to zrobił?

Kuba: Zostałbym w tym sporcie ponieważ trenuję go tak długo i lubię to środowisko i to jest to co kocham więc zostałbym na 100%.

- Co jest najważniejsze gdy masz zawody? Na czym musisz się skupić?

Kuba: Ważne jest nastawienie optymistyczne, chęć walki i trudności z którymi chce się zmierzyć, w tym sporcie trzeba być ciągle skupionym.

- Jak radzisz sobie ze stresem?

Kuba: Przez te lata mojego trenowania udaje mi się powoli można powiedzieć wygrywać ze stresem ale mnie odstresowuje muzyka, jest dla mnie bardzo ważna podczas zawodów.

- Na jakim etapie zawodów jesteś i jaka była twoja największa wygrana, z której jesteś dumny?

Kuba: Moja największa wygrana to III miejsce na pucharze Europy.

- Na których zawodach ci się najbardziej podobało i dlaczego?

Kuba: Wszędzie jest super i każde zawody mi się podobają, ponieważ wszyscy moi znajomi przyjeżdżają i mogę się z nimi przy okazji spotkać, ale miasto, które bardzo ciekawie organizuje zawody to Poznań. Wszystko jest bardzo dopracowane, zarówno to, co dzieje się na sali oraz rozłożone w czasie podczas zawodów.

- Dziękuję ci za rozmowę.

Weronika



Zaskoczenie, czyli Haruki Murakami

„Zawód: Powieściopisarz”

Pewien czas temu usłyszałam o książce Murakamiego "Zawód: Powieściopisarz". Wcześniej zetknęłam się z tym autorem czytając książkę polskiej tłumaczki jego dzieł, Anny Zielińskiej-Elliott "Haruki Murakami i jego Tokio", ale nie znałam żadnej jego powieści poza tytułami. "Zawód: Powieściopisarz" nie jest z kolei powieścią, ale zbiorem esejów Murakamiego. Dotyczą jego życia, twórczości, przemyśleń o byciu pisarzem.

Zanim ją kupiłam, czytałam w Internecie trochę recenzji i opinii, głównie dlatego, że szukałam najpierw opisu tej pozycji. Większość z nich pisali ludzie, którzy musieli czytać inne jego dzieła. Recenzje nie były złe, ale w wielu czytałam, że książka nie była tak rewelacyjna jak tego oczekiwali, sporo osób było zirytowanych licznymi powtórzeniami w tekście. Ja postanowiłam przeczytać "Zawód: Powieściopisarz"; nie miałam własnych oczekiwań co do niej. Nie znałam stylu Murakamiego, znałam jedynie przewodnik polskiej tłumaczki po Tokio śladami postaci z jego książek. Miałam nadzieję jedynie na to, że przeczytam coś ciekawego, co jest związane z Japonią i z pisanie, bo to również moja pasja.

Nie jest to tzw. "cegła", czyta się ją szybko (286 stron). Mimo to treści jest maksimum.

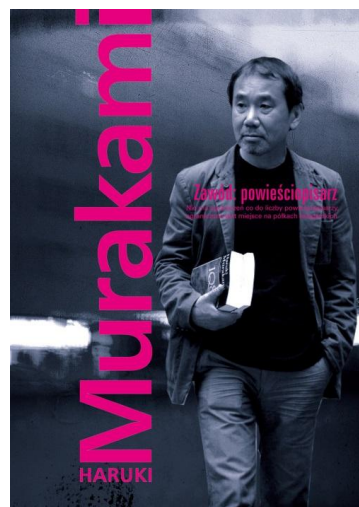
Zaczyna się od rozdziału, w którym opisano rynek pisarski i właściwie środowisko piszących. Jest ono jak ring, na którym walczy się o bycie docenionym. Mimo to nie walczy się przeciwko innym - chociaż czyjeś sukcesy mogą się skończyć, nie są one konsekwencją tego, że inna osoba zaczęła je odnosić.

Byłam zaskoczona, ale właściwie czy można mówić o zaskoczeniu, jeśli starałam się nie spodziewać czegokolwiek, nie znając autora? Chyba tak. Jeśli zrozumie się sens tej książki, to wejdzie się w naprawdę zawiły, nieprzewidywalny, ale i niezwykle świat powieściopisarzy. Ta książka pokaże Ci, że w pewnych kwestiach jest zupełnie inaczej, niż myślisz. Ile jest prawdy w naszych wyobrażeniach o pisarstwie w porównaniu z tym, jak naprawdę jest? Czy pisarz niewywołujący skandali potrafi kogoś zainteresować? Czy w ogóle pisze z myślą dla określonego czytelnika? Odpowiedzi są zaskakujące, obalają nasze wyobrażenia o sławie.

Czytając "Zawód: Powieściopisarz" miałam nieodparte wrażenie, że udaje mi się słuchać myśli drugiej osoby - Murakamiego - co jest dla mnie bardzo cenne. Kiedy komuś uda się napisać to, co naprawdę myśli i czuje wiadomo, że napisał to dobrze. Nie mogłam się oderwać po rozpoczęciu lektury. To jedna z takich wyjątkowych książek, przy których czułam, że mogłaby być pisana dla mnie, chociaż w rzeczywistości nie była. Pewnie to po prostu wynik zgodności moich przemyśleń z przemyśleniami autora. W rozdziale, w którym napisał on o mechanizmie sprawiającym, że czytelnik identyfikuje się z bohaterami ciekawe jest stwierdzenie, że on (nie wiadomo jak inni, każdy pisarz jest inny na swój sposób) nie pisze dla nikogo. To chyba fundamentalne, że pisze się przede wszystkim dla siebie. I wtedy jednak zdarza się, że ktoś poczuje, że autor dobrze rozumie czyjeś uczucia, chociaż nie zna takiej osoby.

Poznając jego historię - w książce opisano wydarzenia związane z debiutem Murakamiego, jego próbami pisarstwa i życiem - widzimy, że prawdziwe są słowa, że pisanie to magia. To niezwykła zdolność, dzięki której można robić to, co wydaje się niemożliwe. Chcę wierzyć, że pisarstwo jest czymś wyjątkowym - i tak w istocie jest - a samo życie Murakamiego o tym świadczy. Niezrozumiany we własnym kraju, żyje pod prąd w porównaniu do wielu milionów Japończyków skupionych na pracy w korporacjach. Równocześnie bywa krytykowany za swój styl oraz chwalony za oryginalność, ma fanów. Tu jest też sedno sprawy. Dla wielu ludzi w Europie Japonia to siedlisko licealistek w strojach lolitek, klonów Pokemonów, dziwacznych filmów lub komiksów, kraj kultury odległej dla nas, ale jednocześnie jakieś miejsce, w którym można robić wszystkie dziwne rzeczy, jakie przyjdą nam do głowy. Mówi się też o tym, jakie jej społeczeństwo jest zorganizowane, ale i żyjące pod presją pracy, bycia jak najlepszym, twardych zasad. W gruncie rzeczy trudno jest znaleźć kraj, a raczej ludzi, wśród których indywidualista zostanie zrozumiany. Istnienie grupy to zawsze ryzyko porównywania do konformistycznych wzorców. Być może każdy twórca musi się z tym zmagać, że jest skazany na nie zawsze dosłowną emigrację, na oddalenie od innych, od mas. Jednym z głównych przesłań tego zbioru jest na pewno wezwanie do życia w zgodzie z sobą, do odwagi na spełnianie swoich marzeń.

Nawiązując do tytułu, powieściopisarz to nie tylko zawód, to styl bycia. Można powiedzieć, że tym samym wybiera się niezwykle życie. Życie pełne zjawisk, których wielu ludzi nie doświadcza. A może jednak to nie wybór, tylko nieodwracalna



konsekwencja tego, kim się jest? Ta książka jest przykładem dogłębnego spojrzenia na siebie samego. Dotyczy oczywiście przede wszystkim analizy świata pisarzy, ale to prowadzi do analizy piszącego, a mam nadzieję, że również i czytelnika. „Zawód: Powieściopisarz” pokazuje głęboko introwertyczne wnioski na temat otaczającego świata oraz o tym, co dzieje się w samym pisarzu.

Natrafiłam na takie oto słowa w tej książce: „*Powieściopisarze przypominają pewien typ ryb - jeżeli przestaną płynąć, umierają*” (str. 22). Według mnie dla pisarzy i w ogóle wszystkich artystów wspólne jest to, że tworzenie to życie, a życie to tworzenie. Zacierają się granice między codziennością i tym, co się robi. Haruki Murakami to jedna z osób, które tego doświadczają. Teraz to czytelnicy zadecydują, czy jeśli odczuwają to, co on, to również są w głębi duszy twórcami czy po prostu należą do pewnej emocjonalnej wspólnoty. Ja mogę dodać od siebie, że jego książka nie pozostawia obojętnym na te sprawy. Dzięki niej zechce się szukać głębiej i głębiej w morzu słów.

Judyta Janczara

KĄCIK LITERACKI

Judyta Janczara
W zamknięciu

Strych skryty był w lepkiej od pajęczyn ciemności, wśród pochyłych ścian. Zamieszkiwały go pająki, które jedynie czasami dawały znać o swoim istnieniu, ku niezadowoleniu Estery. Leżało tam sporo kartonowych pudełek wypełnionych różnymi przedmiotami, dawne gazety, zatrzymane z niewiadomych już powodów i dwa drewniane krzesła. Ich powierzchnia była szorstka jak skóra wystawiona na mróz. Już niewiele czasu spędzi w tym domu. Pozostał jej jedynie tydzień do przeprowadzki.

Ester miała latarkę, którą oświetlała strych; światło było od długiego czasu zepsute. Właśnie wyciągała książki z jednego z kartonów, kiedy na podłogę wypadło coś małego. Usłyszała metaliczny dźwięk. Odłożyła książki obok swojej nogi i kierowała światło w różne kierunki, szukając przedmiotu, który wypadł. Po chwili znalazła przed sobą leżący kluczyk. Mógł być wykonany z jakiegoś stopu metali, na pewno nie był srebrny ani złoty.

-Co to jest? – powiedziała do siebie. Oświetliła książki, na nich leżała poślizgnięta karteczka. Była zgięta, jakby miała coś owijać. Zrozumiała, że w niej leżał klucz, który się wysunął. Rozwinęła papier i zobaczyła napis:

Niebieski zeszyt z klódką, okładka w spirale.

Zeszyt? Coś sobie zaczęła przypominać. Jeszcze przed skończeniem studiów kupiła ozdobny notatnik, który chciała przeznaczyć na pamiętnik. Tak, to było przed studiami. Zaraz, jeszcze wcześniej niż w liceum! Gimnazjum? Nie... To było jednak w piątej klasie podstawówki...

-Nie wiedziałam nigdy, gdzie włożyłam ten zeszyt. Pewnie pisałam w nim, a potem przestałam, bo się zgubił. Powinnam go odnaleźć.

Z tą myślą zeszyła na dół, chowając kluczyk do kieszeni spodni.

-Gdzie powinnam szukać? Wiem, w swoim pokoju!

Myślała, że rzeczy, które najtrudniej znaleźć, są najbliżej. Najciemniej jest pod latarnią. Zawsze myśli się, że dobrze zna się swój dom. W rzeczywistości nawet tam można znaleźć coś, czego można się nie spodziewać. Dla osoby, która planuje karierę pisarską jasne jest, że nic nie jest oczywiste. Im bardziej rozmyślała o poszukiwaniach, tym bardziej powtarzała sobie, że może da jej to pewną inspirację. Może nie było to najbardziej ekscytujące, co może zdarzyć się w życiu – szukanie starego zeszytu – ale ona angażowała się w to.

Otworzyła drzwi, znalazła się w swoim małym schronieniu w odcieniach jasnej zieleni i fioletu. Naprzeciw niej światło wpadało przez dwa duże okna. Skierowała się w stronę korkowej tablicy, która wyglądała jak wiszący na ścianie krzaczek kartek, zdjęć, nitek i papierków. Wyróżniał się z nich jedynie jeden rysunek, wykonany kiedyś przez jej znajomego ze szkoły. Narysował go tylko przy użyciu kilku niebieskich kredek, widocznie bardzo lubił ten kolor. Spoglądając na swój portret próbowała sobie



przypomnieć, jakie było imię kolegi. Jakieś oryginalne, ale jakie...? Nie miała dobrej pamięci do imion osób, których dawno nie widziała. To ją bolało.

Pod tablicą na podłodze stało kilka pudełek. Zaczęła przetrząsać ich zawartość.

-Zeszyt powinien być pośród czegoś podobnego, książek, notatników, nie wiem... - powiedziała.

Za każdym razem, kiedy wyciągała rękę z pudła, razem z nią wynurzał się kolejny zeszyt. Były to takie, jakich pełno w sklepach papierniczych, o cienkich okładkach z kolorowymi wzorami lub w jednym kolorze. Każdy z nich zawierał w sobie część powieści wymyślonej przez Esterę albo opowiadanie. W czasach gimnazjum i liceum często pisywała fantastykę lub coś opartego na jej snach. Zatrzymała wzrok na jednym z zeszytów, żółtym, otworzyła go na przypadkowej stronie. To tutaj właśnie opisywała podróż swojej bohaterki, Teri, przez Cesarstwo Nocy i Dnia.

-Za dnia w Cesarstwie panowały jasne moce. Nikt nie obawiał się niebezpieczeństw pod ochroną Cesarza Dnia. W nocy jednak, za sprawą dawno zawartego pokoju, rządziła ciemność, nie tylko na niebie. Mieszkańcy woleli wtedy kryć się, niż pod jakimkolwiek pretekstem spotkać jedną z istot, które wtedy wychodziły z kryjówek... - czytała.

Na jednej ze stron widniała za marginesem notatka o teście w szkole. Rozbawiło ją to.

-Nawet przyziemne rzeczy są na kartach takiej opowieści.

Nie było tutaj jednak żadnego z jej pamiętników. We wcześniejszych klasach podstawówki również prowadziła dzienniki. Te z kolei były schowane w innym miejscu. Wyciągnęła z kieszeni smartfona. Sprawdziła godzinę, która ukazała się na tle tapety z lasem. Dopiero trzynasta. Ma jeszcze dużo czasu na poszukiwania...

*

Następnego dnia w drzwiach jej domu stanęła Karolina. Siostra pomagała jej wynosić pudełka, które sama miała przewieźć do nowego mieszkania w Gdańsku.

-Nie żal ci opuszczać Kaszub? - rzuciła młodsza, przechodząc przez ogród.

-Wiesz, będę mieć bliżej do pracy... Na studiach jakoś sobie radziłam z dojazdami - przyznała Estera. -Teraz chciałabym spróbować mieszkać trochę bliżej.

-Gdzie?

-Na Zaspie.

Karolina była dopiero w liceum. Prawdę mówiąc Estera nie uważała jej za wyjątkowo ciekawą osobę, ale nie była taka zła jak większość osób z jej szkoły. W pewien zadziwiający sposób udało się jej połączyć w swojej osobowości zwyczajność z brakiem uzależnienia od znajomych. Nie była kimś bardzo wyróżniającym się, kimś oryginalnym, ale nie była tak głupia, jak mogą inni być. Była średniego wzrostu i lubiła nosić czarne legginsy oraz biały T-shirt zespołu Twenty One Pilots. Estera z kolei nosiła zwykle dżinsy i kolorowe, czasem beksztaltne bluzki. Dzisiaj jednak włożyła ciemnozieloną sukienkę w małe, żółte liście.

-Ten tydzień jest bardzo ciepły, zupełnie nie jak jesień - powiedziała starsza, poprawiając swoje ciemne włosy.

-Ciebie interesuje pogoda, a mnie zaliczenie testu z matmy - odparła Karolina.

Obie się zaśmiały.

-Słuchaj - zaczęła znowu Estera. -Czy widziałas może w domu rodziców jakiś nietypowy zeszyt?

-Widziałam tylko swoje zeszyty. Typowe i z notatkami, które matka nazwała bazgrołami.

-Widzisz, szukam jednej rzeczy. To taki notatnik w niebieskiej okładce, trochę grubszej, pamiętam, że są na niej tłoczone kształty spirali. No i ma z boku prawdopodobnie kłódkę, jeśli nie oderwała się. Taka mała kłódka.

-Nie sądzę. Nie widziałam.

-Cóż... W takim razie dobrze.

Gdzie powinien być notatnik? Nadal żywiła nadzieję, że znajdzie tam coś ciekawego. Jeśli nie ma go jednak w drugim domu, to jest w jej mieszkaniu. Pytanie, gdzie go położyła. Z wypowiedzi Karoliny wynikało, że na pewno przeniosła go podczas pierwszej przeprowadzki. Nie pamiętała tego szczegółu, ale to też oznacza, że musi szukać dalej. To szukanie chyba nigdy się nie skończy. Co prawda to dopiero drugi dzień jej poszukiwań, ale wolałaby mieć go już teraz. Ma na głowie pakowanie reszty rzeczy, w sobotę przyjedzie transport. Za niecały miesiąc zacznie pracę w szkole, gdzie zastąpi inną nauczycielkę, która wyjeżdża. Wkrótce zacznie, jak mawia Karolina, „gnębić” angielskim nastolatków w podobnym do niej wieku. Jak to możliwe, że w tej samej rodzinie urodziły się dziewczyny, z których jedną stać tylko na trójki, a druga ukończyła filologię - tego prawdopodobnie się nie dowie.

Po południu, gdy Karolina odjechała na swoim rowerze, Estera wróciła do korytarza, gdzie stało już kilka pudełek. W jednym z nich były właśnie pamiętniki. Wyciągnęła jeden z nich w nadziei, że znajdzie więcej wskazówek. Otworzyła tam, gdzie włożyła chusteczkę higieniczną. Na jednej ze stron, radośnie obrysowanej kolorowymi, żelowymi długopisami, opisała swoje tajne skrytki z dzieciństwa. Znajdowały się w domu nieżyjącej już babci, który sama teraz zajmowała. Przejrzała zawartość strony.

MOJE SEKRETNE MIEJSCA!!!

Dziupła w drzewie przy płocie

Szafka babci przy schodach

Mój drugi pokój, szuflada pod łóżkiem

Zakopana skrzynka skarbów!

Kącik na strychu

Pomyślała o każdym z tych miejsc. Raczej nie schowała zeszytu w dziupli. W czasach, kiedy go kupiła, już nie chowała tam nic. Poza tym łatwo by zauważyła przedmiot leżący na jej dnie. Dziupla była w zasięgu jej wzroku. Szafkę przeglądała o wiele wcześniej, zanim się przeprowadzała i jedyne, co tam jest, to książki i jej ładowarki. Pod łóżkiem na pewno nie. Na strychu nie widziała, a ta skrzynka? Ma być zakopana w przydomowym ogrodzie. Szczerze mówiąc nie sprawdzała od lat, co tam jest. Być może włożyła tam jakiś rysunek, papierki po cukierkach albo coś podobnego. Słodczy by nie marnowała, bo zepsułyby się pod ziemią.

A co jeśli to faktycznie ta „skrzynka skarbów”? Właściwie nie należy wykluczać tej możliwości. Brzmi to trochę zabawnie, żeby zakopywała zeszyt, ale kto wie? Może miała w tym jakiś cel? Z drugiej strony, jaki był jej powód do tak precyzyjnego ukrycia zwykłego pamiętnika? Chciała zrobić jakąś tajemnicę dla siebie z przeszłości?

Trzeba to sprawdzić.

*

Trzeci dzień, wtorek. Karolina szukała w liceum swojej ściagi z trygonometrii, Estera szukała w domu łopaty. Równocześnie zastanawiała się, gdzie powinna być zakopana skrzynka. Przecież nie zamierza rozkopywać całego ogrodu... Za kilka lat w tym domu może zamieszka jej siostra, a ona musi go zostawić w dobrym stanie. Gdyby znowu była dzieckiem, to postanowiłaby ukryć taką skrytkę pod drzewem z dziuplą. Równie dobrze byłoby gdzieś na środku ogrodu. Postanowiła zadzwonić do ojca.

-Tato, masz swój wykrywacz metalu?

*

Minęło trochę czasu, a ona już zdobyła potrzebne urządzenie. Chodziła z wykrywaczem w rękach, zakreślając jego dolną częścią kręgi nad trawą. Czasem przykładła go bliżej, do ziemi, gdzie końcówka dotykała leżących na niej liści. Sądziła, że skrzynka posiada metalowe okucia lub zamek, który może dać znak wykrywaczowi. Krążąc najpierw wokół jasnożółtego domu, a potem wzdłuż płotu nie wykryła nic. Przeniosła się na środek ogrodu, najpierw idąc przy ścieżce do wejścia obłożonej po bokach kamieniami, a potem zbliżyła się do drzewa, gdzie kiedyś mieściło się jej inne „sekretnie miejsce”.

Sygnal!

Wykrywacz wyczuł coś między drewnianą ławeczką, a krzewem żółtych róż. Urządzenie zostało odłożone na ławkę, by Estera mogła chwycić za leżącą pod murem domu łopatę. Wbiła ją w ziemię, uważając na kwiaty. Zaczęła kopać, przerzucając na bok grudki gleby. Najpierw łopata gładko wchodziła w ziemię, trafiając jedynie na kilka kamieni. Potem uderzyła o coś podobnie twardego. Kobieta nachyliła się nad dziurą. Dojrzała w niej kształt podobny do kantu jakiegoś pojemnika. Zanurzyła dłonie i spróbowała wyciągnąć tajemniczy przedmiot.

-Coraz lepiej, coraz lepiej...

Udało się. Drewniane pudełko ujrzało światło dnia. Jej ręce były teraz dosyć brudne, tak jak ścianki, które kiedyś były bardziej czerwone, ale to nic. Skrzynka posiadała kłódkę. Czy to do niej pasował kluczyk, który leżał na strychu? Serce zabiło jej mocniej. Jeśli nie, to trudno będzie jej otworzyć skrzynkę. Myślała, że kluczyk otwiera zamknięcie zeszytu, który być może jest w środku, ale musi się przekonać. Weszła do domu, niosąc znalezisko i porwała mały klucz, od niedzieli spoczywający na półce z książkami.

-Oby pasowało – próbowała zakłąć rzeczywistość.

Włożyła pióro klucza do dziurki. Spróbowała obrócić... Poszło.

Usłyszała cichy zgrzyt. Zamknięcie się otworzyło. Podniosła pokrywkę, pudełko miało długość odrobinę krótszą niż jej ręka od nadgarstka do łokcia.

W środku leżał niebieski notatnik ze spiralami. Nie miał jednak kłódki. Teraz zrozumiała, że kluczyk nie miał otworzyć jego, ale pudełko. Okładka nie miała najmniejszych zniszczeń, boki stron wyglądały na będące w dobrym stanie. Podekscytowana Estera wyjęła zeszyt, aby przeczytać, co chciała kiedyś zachować w sekrecie.

Może znajdzie tam coś, czego już nie pamięta, zabawne historie, kolejne opowiadania?

W chwili, kiedy ujrzała pierwsze kartki, zdziwiła się. Nie było na nich nic. Absolutnie nic.

Kartkując dziennik, zobaczyła, że pozostałe strony wyglądają tak samo. Nic ich nie pokrywało poza cienkimi, nadrukowanymi linijkami. Powoli, obejrzała każdą kartkę, ale nie odkryła nic nowego. Żadnego ołówkowego pisma, które mogło być nieco zatarte. Nie znalazła najmniejszego napisu wewnątrz notesu.

-Pusto? – rzuciła w eter słowa.

Położyła dłoń na okładce, gdy zamknęła go.

-Powinnam zabrać ten zeszyt. Nie wiem, czemu go ukryłam, ale wiem, że teraz go wykorzystam. Zapiszę go.

Puste strony na nowe wspomnienia. Niedługo zacznie kolejny, nowy etap życia. Ten niespodziewanie odnaleziony pamiętnik zapełni teraz jej zapiski, będzie znowu tworzyć, wspominać. Po dłuższym czasie uświadomiła sobie, że to dobry czas na powrót do pisania. Może teraz spróbuje powrócić do swoich dawnych postaci? Czy wymyśli nową historię? Przez głowę przeszły jej obrazy z czasów, kiedy w tamtych kolorowych zeszytach wypisywała swoje nowe pomysły i prowadziła Teri i innych bohaterów przez swoje światy.

Nie znalazła nic, czego istnienia podejrzewała, ale ma miejsce na nowy początek. Jeden z wielu początków, jakich jeszcze doświadczy, nie pierwszy i nie ostatni.

-Oby teraz inspiracja mnie nie opuszczała – zauważyła z uśmiechem.

Słońce wpadło przez okno, oświetlając jej włosy i lśniąco wgłębienia okładki. Wiedziała, że zaczyna się coś wyjątkowego. Dziś z ukrycia wydobyła coś, co pozwoli jej odkryć nowe ścieżki.

(tekst i ilustracja – Judyta Janczara)



DEWASTACJA ?

Jest listopadowy wieczór. Zimno, na szczęście nie pada, ale wilgoć czuć w powietrzu. Nieprzyjemnie. Do tego otoczenie. Ponure budynki z wielkiej płyty, które w dziedzictwie zostawiła nam upadająca komuna. Nie pomogły też późniejsze wysiłki, próbujące ożywić szare ściany kolorowymi elewacjami. Nadal jest dość ponuro, zwłaszcza, że oświetlenie jest marne. Pod betonowym murem oporowym oddzielającym hipermarket od chaszczy zrujnowanych ogródków działkowych jest jakiś ruch. Dwie zakapturzone postacie przykuwają uwagę swoim skupieniem i systematycznością ruchów. W czeluści klatki schodowej jednego z domów pojawia się jakiś człowiek wyprowadzający swojego czteronożnego towarzysza życia w blokowisku. Wygląda na powolnego i zmęczonego, ale ożywia się bardzo, gdy również dostrzega ruch pod ścianą z betonu. Zaczyna coś krzyczeć o dewastacji, policji, straży miejskiej, zbrodni i karze.

Zakapturzone postacie znikają szybko i bez śladu. Człowiek z psem trochę jeszcze pomruczał pod nosem i mozolnie pnąc się po schodach wrócił do swojego 40 calowego, płasko-ekranowego okna na świat. Dwie postacie wróciły na miejsce. Spod nich zaczęły wyłaniać się kolorowe plamy. Wszystko już ucichło i ostatnie okna blokowiska zasnęły. Niebo się roz pogodziło i chmury nawet odsłoniły kilka gwiazd. Kiedy nastał późny i zimny jesienny świt, mur nie był już kompletnie szary. Centralnie biła w oczy ostra czerwień i błękit.

Na pewno nie było już ponuro i nudno, choć może to bardziej sprawa promieni wschodzącego słońca, dodających jeszcze ostrości barwom. Na moment nawet przystanął zaskoczony, ubrany na czarno właściciel psa, który właśnie ruszał do pracy. Po chwili zadumy dołączył do grupy, również ubranych na czarno, przestępujących z nogi na nogę ludzi, czekających na autobus. Kilka osób uśmiechało się do siebie delikatnie, widząc kolorowe litery. Jak wsiądną do wypchanego po brzegi autobusu, przestaną się uśmiechać i znowu przybiorą groźne miny. Po kilku tygodniach czujne służby porządkowe starannie zamalują malowidło i ściana znów będzie szara. Jak należy.

Florek

Święta coraz bliżej



Zostało już niewiele czasu do Bożego Narodzenia, a nasze ALO przygotowuje się na te wyjątkowe chwile. W szkole pojawiły się dekoracje. Widać to już od schodów prowadzących do piętra z liceum - girlandy przyozdobiły poręcze schodów. W korytarzu i w salach królują choinki, lampki, śnieżynki i inne ozdoby. Sądzę, że na pewno zachęci to Świętego Mikołaja, aby nas odwiedził ☺.

Obecnie jesteśmy już po szkolnych Mikołajkach (6 grudnia), które odbyły się w języku angielskim. Grupa angielskiego z III kl od pana Łukasza przygotowała występy muzyczne oraz prezentację dotyczącą mikołajkowych i świątecznych tradycji z różnych części świata oraz historię postaci Św. Mikołaja. Spotkanie zakończyło się quizem, który wygrała Sandra z II kl. Gratulacje!

Piątek - ten dzień był poniekąd przedłużeniem świętowania mikołajek. 8 grudnia wybraliśmy się na Placyk Malczewskiego przy Gimnazjum (już wkrótce Podstawówka) Lingwisty, gdzie odbył się festyn. Znow mogliśmy wysłuchać utalentowanych dziewczyn z naszej szkoły, ale i grup z gimnazjum i podstawówki, które występowały na placu. W budynku szkoły można było wziąć udział w dekorowaniu pierników. Chociaż rodzajów posypek nie było zbyt dużo, lukier jedynie biały i trudno było operować czekoladową polewą z rozciętego opakowania - słodczyce wyglądały intrygująco. Mogliśmy przynajmniej wybierać pierniki o wielu kształtach - mnie udało się ozdobić dwa, w kształcie serca i w kształcie ślimaka. Może taki piernik powinien być prezentem dla naszego szkolnego zwierzątka, ślimaka ALO?



Może warto w tym roku spróbować zrobić coś nowego, aby odmienić święta? Można spróbować samemu zrobić ozdobę na choinkę lub do domu, żeby zobaczyć, jak wypadnie nasz talent w porównaniu ze sklepowymi rzeczami.

W tym roku jakoś bardziej cieszę się na święta. Zazwyczaj wydaje mi się, że pomimo prezentów nie ekscytuje mnie tak grudniowe święto, z powodu komercji.

Pamiętajmy jednak, że najważniejsza jest radość i czas spędzony z bliskimi. Liczy się, aby podarunek był prawdziwie od serca.

Pozostaje nam więc poczekać jeszcze trochę i przygotowywać się do klasowych Wigilii ☺.

Judyta Janczara



Coś dla ducha już było, zatem coś dla ciała ;)

Świąteczny piernik pomarańczowy z mąki jaglanej - 16 porcji po 145 kcal każda

Składniki:

- 200 g mąki jaglanej
- 100 g oleju kokosowego
- 120 g ksylitolu
- 100 ml mleka 0,5 % tłuszczu
- 2 jajka 120 g
- 1 pomarańcza 200 g
- łyżeczka proszku do pieczenia 5 g
- 2 łyżki [przyprawy do piernika z tego przepisu>>>](#)
- łyżka ciemnego kakao 10 g
- aromat śmietankowy (opcjonalnie)

Przygotowanie:

Nastaw piekarnik na 180 stopni. Umyj pomarańczę i zetrzyj skórkę na tarce z małymi oczkami. Następnie wyciśnij z niej sok do kubka. Jajka wbij do miski i zmiksuj na wysokich obrotach na puszystą masę. Dodaj ksylitol i dalej miksuj. Dodaj do masy olej kokosowy, mleko oraz sok pomarańczowy i kontynuuj

miksowanie. Następnie wsyp powoli mąkę, ciągle miksując oraz proszek do pieczenia i przyprawę do piernika. Dodaj skórkę z pomarańczy oraz aromat śmietankowy i wymieszaj łyżką. Przelej masę do formy do pieczenia posmarowanej odrobiną oleju koksowego. Moja forma była mała – miała 18 cm średnicy. Piecz w piekarniku przez 40-50 minut.

<http://dietetyczne-przepisy.net/swiateczny-piernik-pomaranczowy-z-maki-jaglanej/>